

Czerwony pokój.

Szła krokiem wolnym aleją w głębi parku, kiedy nagle, wyłoniwszy się z zarośli, stanął przed nią nieznajomy osobnik.

— Kto to? — spytała, cofając się wylekła.

Oblicze mężczyzny nie było straszne, coprawda, ale wobec zdecydowanej jego postawy, młoda kobieta z niepokojem zmierzyla dużą odległość, dzielącą ją od pałacu.

— To prawda, że ludzie zmieniają się przez dziesięć lat — odparł nieznajomy niedbałym tonem wieśniaków lesistego Morvanu. — Nie przypominasz mi siebie, Aniela Botrot, ale ja mimo twą piękną suknię paryską poznaję dawną służącą matki Fournion. Nie podoba ci się to, he?

Uniósłszy z ironią swój kapelusz z lichego filcu prawą ręką i opierając wskazujący palec lewej na brzuchu, dodał:

— Justyn Boulard! Twój dawny narzeczony!

Młoda kobieta wróciła do równowagi tymczasem i wyprostowała się z godnością.

— Jestem markiza de Laroche! Czego chcecie ode mnie?

— O! Wiemy, że udało ci się wydać zamaż za tego półobłąkanego bogacza, Laroche, ażeby odziedziczyć po nim zamek i miliony...

— Bezcelny nędzniku! Nie jestem obowiązana tłumaczyć się przed tobą z mojego postępowania.

— Zapewne, pani markizo! Ale nie możesz zamknąć mi ust i musisz wysłuchać tego, co ci powiem w oczy, póki cię trzymam w rękę. Grzech jest częściej nagradzany na tym świecie od cnoty. Ty, na ten przykład, zdobyłaś ładny majątek złem prowadzeniem się. Gdybyś pozostała cnotliwą, myłabyś prawdopodobnie dotychczas statki w oberży, o ilebyś nie poślubiła była biednego jak ja robotnika. To nie racja jednak, abyś pogardzała ludźmi, wśród których wyrosłaś i masz tupet nielada — powiadam ci — że przyszłaś szydzić z nich tu, gdzie zostawiłaś rodziców w nędzy...

— Dość już tego! Wkroczyliście do mojego parku, jak złoczyńca. Wyjść mi na tychmiast, bo inaczej...

— Grozisz mi? Patrzcie państwo! — syknął Justyn Boulard, chwytając grubiańsko jej dłoń.

— Oddasz mi może w ręce żandar mów, ty, lajdaczko? Ale pamiętaj, że ja jestem zawzięty i że niedługo cieszyć się będziesz niegodnie nabytą fortuną.

Opuścił ją ruchem pełnym wzgardy i oddalił się, wołając jeszcze z groźnym błyskiem w oczach:

— Aniela Botrot! Żmije pożra twoje serce!

Przed dziesięciu laty markiz Albert Laroche, ekscentryczny stary kawaler, który spędzał rokrocznie kilka letnich miesięcy w zamku swoim Valdunois, o dwa kilometry od małej wioski Varancelles, zaszedłszy pewnego dnia do oberży, w której Aniela Botrot była służącą, zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

Uprzejma dla gości, osiemnastoletnia, wysmukła jak topola bruneteczka, nie domyślała się narazie płomienia, jaki rozpałała w sercu właściciela zamku. Skoro jednak Albert Laroche, znany ze swych ekscentrycznych wybryków, wyjąwszy nagle klucz z kieszeni odezwał się do niej bez ogródki: „Ten klucz otwiera małą furtkę w głębi mego parku; chcesz go?"; zmieszana, zarumieniona, spojrzawszy zpośród wokoła, wzięła klucz bez słowa.

„Czekam cię dziś wieczorem, przed północą!“ — dodał wówczas markiz i wyszedł z oberży.

Aniela stawiała się na rendez-vous. Chwila ta stanęła jej w oczach, kiedy przyspieszonym krokiem zdała do zamku.

— Symonie — zwróciła się do swego lokaja — obejdz park wokoło i sprawdź czy wszystkie bramy są dobrze zamknięte.

— Czy jaśnie panią spotkało coś złego? Jaśnie pani jest blada i drżąca.

— Nnie!... Nnie!... Ale klimat nie służy mi tutaj... Wyjeżdżamy jutro. O zmierzchu Symon z latarką w rękę poszedł zbadać park.

— I cóż? — spytała go Aniela, gdy wrócił.

— Nie chciałbym przestraszać jaśnie pani, ale mijając gąk różany, zdawało mi się, że jakiś wieśniak z sakwą był na tarasie przed czerwonym pokojem, który jaśnie pani zostawiła otwarty... Pobiegłem tam natychmiast, ale żywego ducha nie zastałem. Może to było przywidzenie tylko, cienie drzew tańczących w blasku mojej latarki!...

Aniele, skoro została sama w swym pokoju, ogarnęła dziwna niemoc.

Ulegając szczególnym kaprysom Albert Laroche polecił marszałkowi swego zamku, aby wszystko w tym pokoju miało kolor czerwony: obicia, meble, dywany, sufit, najdrobniejsze przedmioty nawet były jednolitej szkarłatnej, szklistej barwy, przyprowadzającej o zawrót głowy niemal.

W pamięci Anieli ta noc fantastyczna, jedyna, jaką spędziła w tym zamku, w którym oddała się po raz pierwszy mężczyźnie bez miłosnych wstępów, służalczo...

Nazajutrz Albert Laroche wyjechał z nią do Paryża i od tej pory nie była nigdy ani w zamku Valdunois, ani też w wiosce Varancelles.

Praktyczna, przebiegła i sprytna wieśniaczka, Aniela Botrot opanowała do tego stopnia swego dziwaka-kochanka, że ten

przed śmiercią poślubił ją, czyniąc spadkobierczynią całego swego majątku.

Upojona dumą, Aniela de Laroche nie zdołała oprzeć się chęci pochwalenia się bogactwem swym w rodzinnych stronach, gdzie mieszkańcy znali ją ubogą najemnicą. Uczuła teraz nagle, że igrała z ogniem.

Nawskroś jeszcze przejęta spotkaniem z Justynem Boulard zgasła lampę. Ale sen nie przychodził. W parku krzyk sów, zwiastunek śmierci, obudził w duszy jej wszystkie stare zabobony wieśniacze. Niezrozumiały upadek jakiegoś przedmiotu w korytarzu, skrzyknięcie mebli napelniało ją przerażeniem.

Powoli, zegar ścienny rozdarł grobową ciszę dwunastu złowrogimi uderzeniami... Północ! Aniela dygoce, jak w febrze. Jakiś nieokreślony niepokój dręczy jej umysł. Doznaje uczucia, jak gdyby zbrodnicza istota krążyła wokół niej... Istota realna, czy urojona, jawna czy tajemna?... Aniela nie wie, ale ktoś jest napewno w pokoju. Usłyszała wyraźnie przed chwilą szelest w jedwabnych firankach nad głową... Przerażenie mrowiem przebiega jej przez skórę...

Rozszerzone źrenice sondują gęstość ciemności. Przedśmiertna, straszna trwoga targa jej sercem. Wydaje się jej, że Justyn Boulard rzucił czary na nią. Czy to złudzenie? Oblęd może? Tam, na dywanie, jak gdyby dwa rubiny. Ależ tak! Dwa rubiny, żyjące, mrugające jak oczy! Ręce Anieli macają w próżni. Przewraca lampę. Chce dzwonić. W przystępie rozpaczki zdziera obicie ze ściany paznogciami, nie mogąc znaleźć dzwonka. A tymczasem cztery rubiny błyszczą w ciemnościach.

Pragnąc wówczas uciec z tego zaczerpniętego pokoju, wstaje z łóżka, wylekła, z rozpuszczonymi włosami; zaledwie jednak dotknęła stopą posadzki, coś zimnego i śliskiego owija się jej koło kostki. Krzyk zamiera jej w gardle i w konwulsjach strachu pada na ziemię.

...

Nazajutrz, kiedy Szymon wszedł do czerwonego pokoju, panowała w nim śmiertelna cisza. Zaledwie otworzył żaluzje, cofnął się ze zgrozą ku drzwiom na widok swej pani, która leżała w pół naga na podłodze z twarzą nabrzmiałą i żmiją wokół szyi.

Kiedy wieść o tym tragicznym i osobliwym wypadku rozeszła się po wsi, Justyn Boulard wzruszył ramionami i odezwał się z szyderczym śmiechem:

— Nic w tem dziwnego, dalibóg! Wiadomo przecież, że markiz Laroche hodował i więził żmije w swoim zamku.

Tłum. Jotsaw.



Rok VI.

Niedziela, dnia 15 września 1929 r.

Nr. 37.

Relikwie św. Kazimierza w Łodzi.



Dnia 7 września r. b. Łódź katolicka zmanifestowała swe uczucia religijne oddaniem czci relikwii św. Kazimierza — Królewicza Polski, sprowadzonym z Wilna do kościoła na Widzewie. Z okazji tej odbyły się wielkie uroczystości kościelne, połączone z procesją, która wyruszyła z katedry św. Stanisława na Widzew. Powyżej widzimy relikwiarz niesiony przez przedstawicieli społeczeństwa miejscowego z dowódcą O. K. IV generałem Małachowskim i wicewojewoda dr. Różnieckim w asyście duchowieństwa z J. E. ks. biskupem dr. W. Iymienieckim na czele.

Fot. A. Mayer.

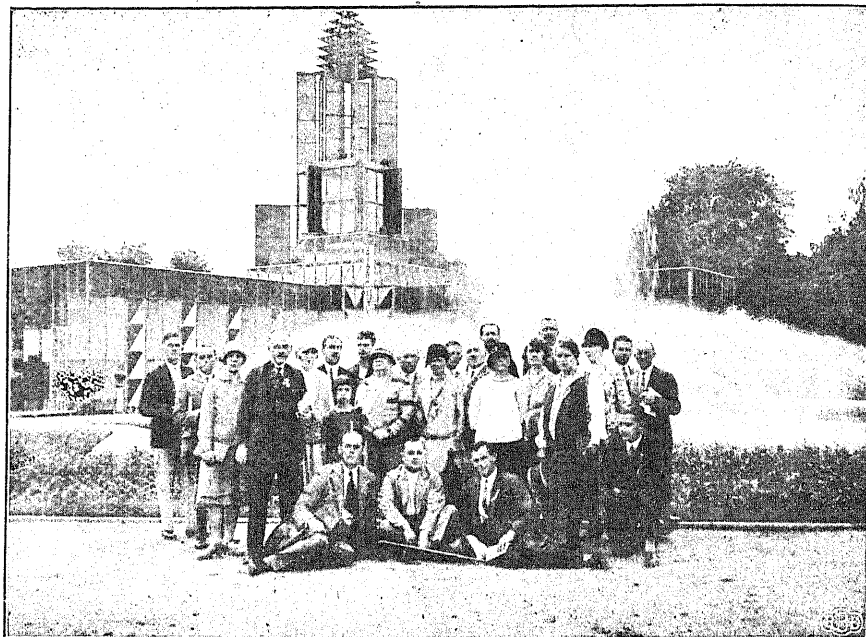
TEATRALJA.

10-lecie opery w Poznaniu. — Zgon Wojnowicza, — Kim był Sergiusz Djagilew. Drobiazgi teatralne.

W tych dniach minęło pierwsze dziesięciolecie opery polskiej w Poznaniu, która w d. 31 sierpnia 1919 r. otworzyła swe podwoje dla sztuki rodzimej. Pielęgnowanie tej sztuki na gruncie zagrożonym dotąd wpływami niemieckimi było placówką operowej w Poznaniu pierwszym obowiązkiem, z którego wywiązywała się zawsze chlubnie, zarówno pod pierwszą dyr. A. Dolżyckiego, jak i później — P. Stermicza. Jednym z dowodów szerokiego uwzględnienia repertuaru polskiego jest rekordowa w ciągu dziesięciolecia ilość przedstawień „Halki”, wyrażająca się cyfrą 157; po niej „Straszny Dwór” Moniuszki (95 przedstawień), „Legenda Bałtyku” — Nowowiejskiego (40 przedstawień) i szereg innych oper polskich wypełniały w bardzo poważnej, przeważającej nawet mierze repertuar opery poznańskiej.

Wobec powołania dyr. Stermicza do opery warszawskiej kierownictwo teatru poznańskiego objął z początkiem nowego sezonu dyr. Wojciechowski, który dla uczczenia 10-lecia, a jednocześnie na inaugurację wystawił „Hrabinę” — Moniuszki, z udziałem czołowych sił wokalnych, w reżyserji p. Urbanowicza. Przedstawienie to miało charakter uroczysty, a poprzedzone zostało odpowiednim przemówieniem prezesa poznańskiej rady miejskiej. Placówce sztuki polskiej w Poznaniu, z takim pożytkiem spełniającej swe trudne zadanie, życzymy na lata najbliższe pełnych i wszechstronnych sukcesów.

Zmarł w Belgradzie jeden z najznakomitszych przedstawicieli świata sztuki jugosłowiańskiej, znakomity poeta i dramaturg, Chorwat z pochodzenia. Iwo Wojnowicz. Był on prawdziwym twórcą nowoczesnego dramatu południowych Słowian, twórcą, którego wielkość i znaczenie znajdowały najzupełniejsze uznanie również zagranicą. W szczególności ukochał Wojnowicz przeszłość swego narodu i bohaterские dzieje jego walk o wolność; z tą miłością do słowiańskiego południa łączył się głęboki sentyment dla rodzinnego miasta — Dubrownika (Raguzy), zaś owocem literackim tych uczuciowych zainteresowań Wojnowicza stały się wspaniała „Trylogia Dubrownicka” oraz uznana powszechnie za arcydzieło tragedia p. t. „Śmierć matki Jugowiczów”, oparta na motywach zmagania wojennych pomiędzy narodem serbo-chorwackim a Turkami. Słynna wenecka afery hr. Tarnawskiej dostarczyła Wojnowiczowi materiału psychologicznego do napisania sensacyjnej w swoim czasie sztuki — „Pani ze słonecznikiem”. Wybitne walory utworów dramatycznych Wojnowicza spowodowały liczne ich przekłady na języki obce. M. in. „Pani ze słonecznikiem” oraz „Matkę Jugowiczów” grano również w Polsce, na scenie krakowskiej. Pamięci Wojnowicza, który jeszcze w czasach zaboru austriackiego znakomitością dzieł swoich dokumentował siłę i wartości duchowe uciemiężonej podówczas Słowiańszczyzny, a w stosunku do narodu polskiego zajmo-



Ruchliwy na terenie naszego miasta Związek Handlowców Polskich zorganizował wycieczkę zbiorową na P. W. K. w Poznaniu. Powyżej uczestnicy wycieczki.

wał zawsze stanowisko pełne najserdeczniejszej życzliwości. — należy się od nas hold i wdzięczne wspomnienie.

Śmierć Sergiusza Djagilewa, który pozostawił po sobie wielką artystyczną zasługę odnowiciela i reformatora sztuki baletowej, wywołała w prasie zagranicznej, umiejscowionej cenić pracę zmarłego, wiele ciekawych komentarzy i przyczynków, związanych z jego długoletnią działalnością. Działalność ta datuje się z przed lat 30, a celem jej było tchnięcie nowego, współczesnego ducha w skostniałość i rutynę tradycyjnej sztuki baletowej. Wyradzała się ona bowiem w formy czysto mechaniczne, pozbawione przewodniej myśli i harmonji wewnętrznej, polegające natomiast wyłącznie niemal na pewnej, wąsko pojętej sprawności fizycznej, bliskiej coraz bardziej popisom akrobatyki cyrkowej.

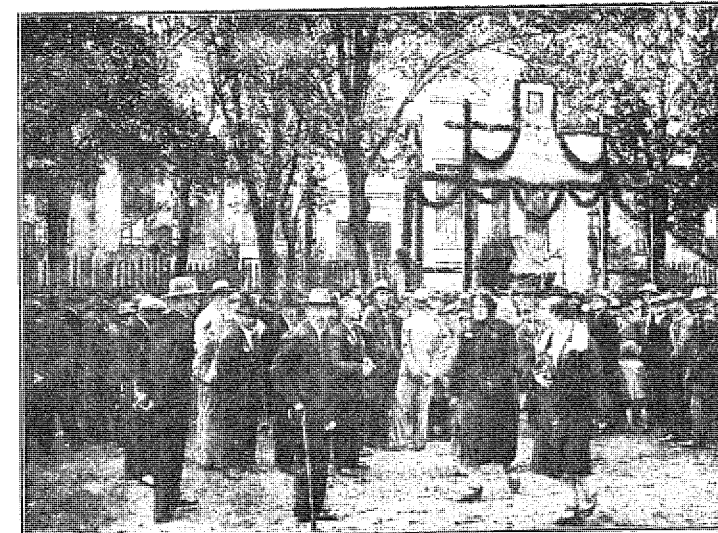
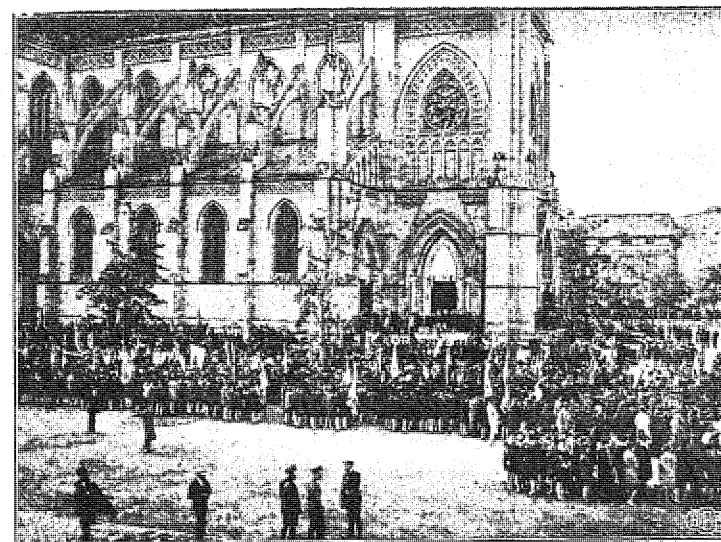
Djagilew, który nb. sam tancerzem nie był, zebrał wokół siebie pokazny zespół ludzi, pragnących pracować wspólnie nad odnowieniem i uszlachetnieniem dziedziny tańca scenicznego. W zespole tym były znakomite siły baletowe (Pawłowa, Karsawina, Fokin), muzycy tej miary, co Prokofiew, Strawiński i in., malarze jak słynny Bakst i t. d. Zespół Djagilewa rozpoczął swe występy w Paryżu, w r. 1909, a zainteresowanie, jakie wzbudził, sukcesy, jakiego odniósł, przeszły najśmielsze oczekiwania. Dla Djagilewa poczęli pracować, a raczej z nim współpracować, liczni muzycy, malarze, dekoratorzy zagraniczni. Wszyscy ci entuzjaści baletu mieli na widoku osiągnięcie jednolitości stylowej, zestrojenie muzyki, tańca i libretta, zharmonizowanie całości baletowej przez usunięcie zbędnej wirtuozerji i popisów solowych, udoskonalenie natomiast i wysunięcie na plan właściwy tańca ensemble'owego. Nie uchylając się od wprowadzania do organizowanych przez się widowisk najnowszych prądów czy to muzycznych czy malarskich, Djagi-

lew nie zasklepił się przecież bezkrytycznie w modernizmie i narówni z baletami Strawińskiego, Ravela, Debussy'ego, Milhanda i in., wystawiał stare balety Rossini'ego, Scarlatti'ego i t. p., nadając im oczywiście formę nową i nawskroś indywidualną, strzegąc się szablonu i banalności. Jedną z wielu zasług Djagilewa jest wprowadzenie do repertuaru baletowego muzyki tak znakomitych kompozytorów jak Chopin, Liszt, Schumann, co z początku wywoływało podziw, graniczący ze zgorszeniem. Inowacja ta przyjęła się jednak powszechnie i to w czasie bardzo krótkim, a dziś niema już doprawdy jednej poważnie traktującej swój zawód tancerki, któraby wśród swych najbardziej popisowych numerów nie posiadała tańców, opartych na muzyce Chopina czy Webera, Czajkowskiego czy Saint-Saensa.

Uznanie, pełne holdów i zaszczytów, towarzyszyło niezmiennie przez szereg lat występom baletu Djagilewa. Nie był on wprawdzie, jak wielu innych, prorokiem we własnym kraju, osiągnął jednak maksimum artystycznego sukcesu w swych ciągłych wędrowkach po Europie i pozostawił po sobie trwałe ślad w kronikach sztuki początku naszego stulecia.

Słyszysz się dziś nieraz opinie, że u publiczności powojennej popłaca jedynie „sensacyjność teatralna” i to w nienajlepszym gatunku, że sztuki dawniejsze, choćby o wielkiej wartości, nie mogą liczyć na powodzenie. Kłam takim twierdzeniem zadaje w dużym stopniu wystawienie słynnej „Sapho” w Komedji Francuskiej. Sztuka ta osiągnęła sukces wprost wyjątkowy, przynosząc w krótkim czasie dochód, przewyższający milion franków. Trudno przypuścić, by momentem atrakcyjnym w danym wypadku było jedynie... imię słynnej poetki greckiej, znanej w starożytności ze swych szczególnych upodobań erotycznych.

Delta.



Przed katedrą św. Stanisława Kostki rzesze wiernych oraz liczne delegacje stowarzyszeń, związków i młodzieży szkolnej w oczekiwaniu na wyruszenie procesji z relikwiami św. Kazimierza do kościoła pod berłem wezwaniem na Władzowie. Obok zaś widzimy główne wejście na cmentarz kościoła św. Kazimierza, do którego sprowadzone zostały relikwie św. Patrona.



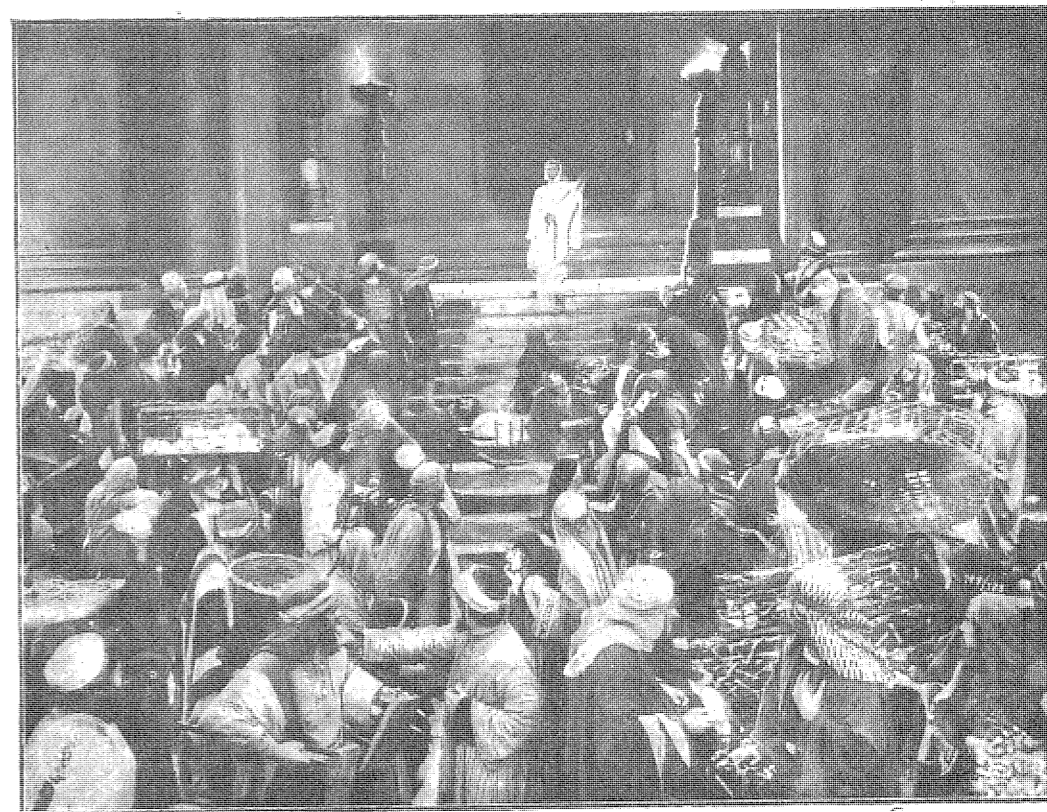
W ubiegłym tygodniu bawiła w Łodzi, Łęcząc w podróży po Polsce, wycieczka inżynierów francuskich. Goście zwiedzili miasto nasze i zapoznali się z przemysłem łódzkim, zwiedzając liczne jego zakłady. Na zdjęciu powyższym widzimy uczestników wycieczki na terenie zakładów fabrycznych Scheiblera i Grohmana. Fot. A. Mayer.



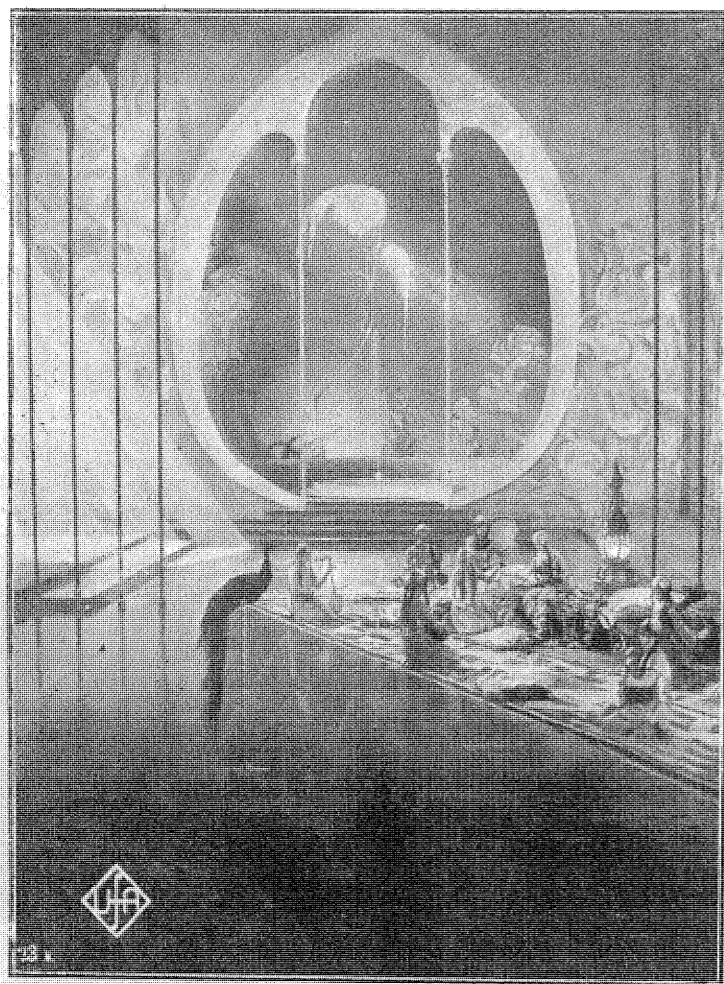
Eugenja O'Brien odtworzyła popisową rolę kobiecą w obrazie „Julfilmu” p. t. „Dusza za futro sobolewce”.



Przecudna scena miłosna z filmu „Zar miłości” w interpretacji Greta Garbo i Conrada Nagla.



Powyżej scena z filmu „Król Królów”.



Bajeczna dekoracja z filmu „Szeherazada”.



Świetna karykatura Lucien Littlefielda, wykonana przez znanego art. malarza Mauro Gonzales.



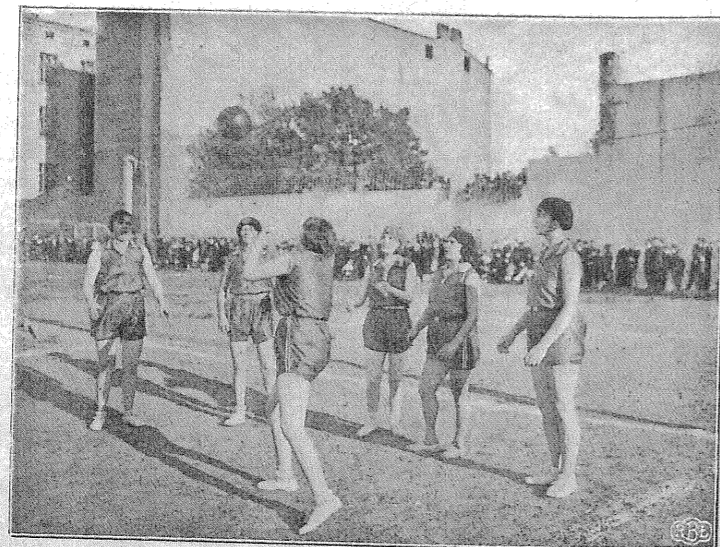
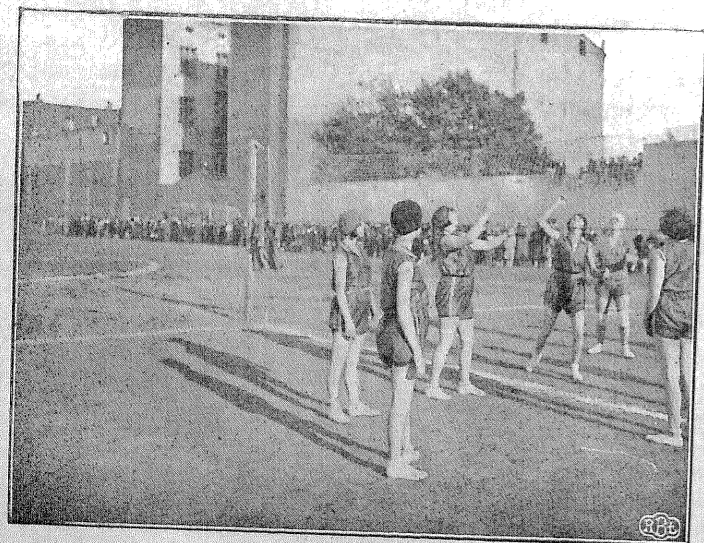
Imogena Robertson, gwiazda wytwórni Universal.



Uroczą Olive Borden w filmach „Szaleństwo jednej nocy” i „Ameryka się bawi”.



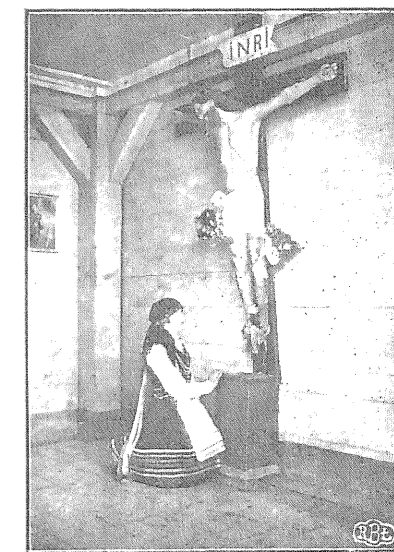
Sport w dobie dzisiejszej — to idea, której służą wszyscy. Szczególnie silnie rozkrzewił się on w ostatnich czasach wśród licznych rzesz robotniczych. Idei rozwoju fizycznego hołduje cała młodzież robotnicza. Przy wielkich zakładach fabrycznych powołano do życia kluby sportowe, które okazują wielką żywotność. Między innymi podobne kluby sportowe powstały przy zakładach fabrycznych I. K. Poznańskich. Na zdjęciu powyższym widzimy zespół drużyn sportowych fabryki Poznańskich z dyrekcją zakładów w osobach pp. Kazimierza Poznańskiego i J. Wolczyńskiego na czele na świeżo ufundowanym placu sportowym przy ul. Ogrodowej.



Niemniej ruchliwe są żeńskie robotnicze drużyny sportowe i tniejące przy zakładach przemysłowych. Powyżej widzimy na lewo drużynę piłki siatkowej fabryki I. K. Poznańskich, na prawo zaś zespół tej drużyny w czasie gry Fot. A. Mayer.



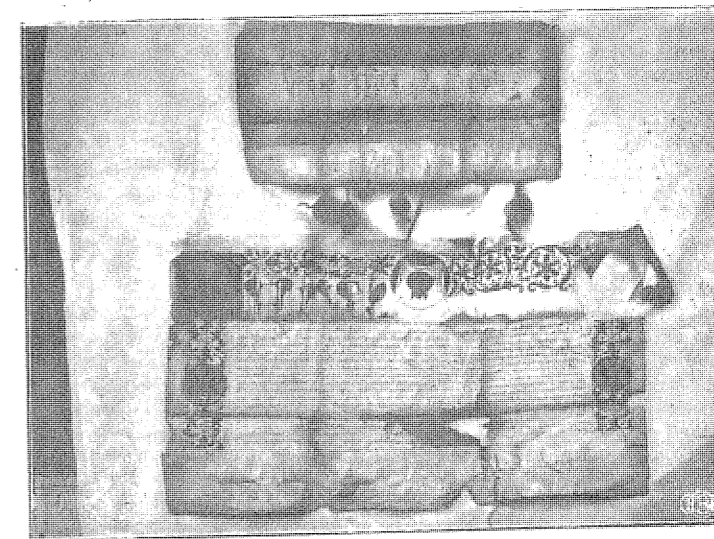
Jedną z najstarszych parafii djeceził łódzkiej są Milezki pod Łodzią. Proboszczem tej parafii jest ks. dr. Nadolski. Powyżej ks. proboszcz na czele chóru kościelnego.



U stóp starożytnego krzyża w krućcie kościoła w Milezkiach.



W sierpniu bawiła w Zakopanem wycieczka wielkiego przemysłu belgijskiego z ministrem p. Heymanem na czele. Powyżej widzimy wycieczkę na tle hotelu „Bristol“



Historyczny dokument kościelny z roku 1401, zachowany w archiwach parafii w Milezkiach. Część górna aktu erekcyjnego bractwa św. Anny, część dolna akt pergaminowy z XIII wieku. Fot. A. Mayer



P. Michał Stolarek, majster przedsiębiorni Tow. Akc. Karol Steinert, obchodził w dniu 11 b. m. 25-lecie pracy zawodowej.

ZA CENĘ ŻYCIA.

— Zadržo czekałaś, moja droga Marcelko. Skoroś się spostrzegła, że ten młody człowiek zbyt natarczywie asystuje ci, powinnaś była powiadomić o tem pana de Villeneuve.

— Wahałam się. Mój mąż ma tyle kłopotów ze swemi interesami, iż nie chciałam niepokoić go tą historją. Byłam przekonana zresztą, że chłopiec ten z mego milczenia, z mego zachowania zrozumie bezcelowość swych zabiegów.

— W Grenoble mieszka?

— Tak. Ojciec jego, pan Paluvier jest architektem.

— Paluvier? Młody Paluvier? Patrzenie państwo!

— Znasz go?

— Ja myślę! Zapalona głowa!...

— Nie utrzymywaliśmy nigdy stosunków z tą rodziną i nie rozumiem jakim sposobem Paluvier mógł się tak zakochać we mnie...

— No, no! Moja droga! Jesteś młoda, ładna... Możesz zawrócić głowę niejednemu dwudziestoletniemu mężczyźnie! Ale jesteś mężatką...

— I kocham mego męża. Masz rację. Dziś wieczorem jeszcze zwierzę się Karolowi z moim kłopotem.

Słońce cofało powoli swe skrzydła promienne za wzgórze. Kłęby różanych obłoczków, odbite, płynęły po Izerze, toczącej swoje wody u stóp zamku de Lambezac, dokąd Marcelina de Villeneuve przybyła w odwiedziny do swej przyjaciółki lat dziecimnych Colette Dujardin. Gawędziły, nie zwracając uwagi na godzinę. Cienie nocy, osnuwające długim błękitnym welonem weneckie okno salonu, przypomniły Marcelce, że pora wracać do Grenoble.

Po ostatnim uścisku na stopniach ganku Marcelina wsiadła szybko do swego auta, zapaliła reflektory i ruszyła z miejsca. Okrążywszy wysypną żwirem aleję parkową, wyjechała z bram zamku na tonącą w ciemnościach szosę.

Zaledwie przebyła około dziesięciu kilometrów, gdy ujrzała w świetlnych smugach reflektorów sylwetkę męską, stojącą wśród pustej drogi. Zwolniła tempa i zmuszona była zatrzymać auto, aby nie przejechać mężczyzny, który stał w nieruchomej postawie z rękoma wzniesionymi do góry, jak gdyby błagając o pomoc.

Zaintrygowana, Marcelina opuściła szybę. Osobnik wykorzystał chwilę, aby wskoczyć na stopień, otworzyć drzwiczki i uisnąć obok niej.

— Czego pan sobie życzy? — zawołała wylekła, z bijącym sercem, mierząc oczyma mężczyznę, którego górna część twarzy zakryta była maską z czarnego jedwabiu.

— Jeżeli umie kierować autem, zginełam! — myślała, puszczając samochód w ruch. — Okolice pusta!... Żadnego osiedla w pobliżu!... Żadnej możliwości ratunku!...

— Proszę skrócić na lewo — odezwał się nieznanym przytłumionym głosem.

— Ależ... — rzekła Marcelina — ja jadę do Grenoble.

— A ja każę jechać na lewo! — odparł tonem pełnym groźby.

— Czegóż pan chce ode mnie?

Nieznanomy nie dał odpowiedzi. Auto dobiegało rozstajnych dróg; trzeba było zdecydować na ten czy inny kierunek.

— Na lewo! — ryknął mężczyzna — bo cię zabiję!

I młoda kobieta uczuła zimno lufy rewolwerowej na swej skroni.

Wziąć na lewo znaczyło jechać w stronę przeciwną od Grenoble, w okolice dzika, porosłą jedliną, najeżoną przepaściami. Błada, z oczyma utkwionymi nieruchomo przed siebie, rękoma zaciśniętymi na kierownicy, owładnięta trwogą i instynktem samozachowawczym, Marcelina skrzyła na lewo i auto potoczyło się dalej w ciemną czeluść nocy. Tysiące myśli opadło nieszczęsną kobietę, kłębiąc się w mózgu opętańczym wirami. Zdawało się Marcelinie, że poznaje głos napastnika. W każdym bądź razie zdawała sobie jasno sprawę czego chce od niej. To też puściła wodze swej maszynie, pokładając nadzieję w napotkaniu wsi, domu, przechodnia, by móc stanąć wówczas i wezwać ratunku. Auto tymczasem gnało w zawrotnym tempie. Wilgotny oddech parowów osiadł na przedniej szybie, a smugi światła reflektorów padały na samotną i milczącą drogę.

— Stać! — krzyknął nagle zamaskowany mężczyzna.

Ale Marcelina pędziła dalej, wspinając się na wzgórze, zjeżdżając z pochyłości, jak gdyby nie była już panią kierownicy.

— Stać!

Czy napastnik przeczuwał zgubę? Czy stanął u zamierzonego celu? Czy trwoga owładnęła i nim z kolei?

Marcelina natomiast, dysząca chłosem, wzgarda, silna niewzruszoną wolą wobec grozy swego położenia, odparła wyłośle:

— Nie. Nie stanę. Wiem, czego się mam spodziewać od pana. Odgaduję nawet ktoś jest, nędzniku! Za cenę mego życia nie poddam ci się i twoje życie mam w ręku!... Nie...

Urwała nagle, gdyż nieznanomy zrzucałszy maskę, chwycił ją za ramię. Z okrzykiem przerażenia odjęła rękę od kierownicy.

* * *

Pan de Villeneuve z rosnącym niepokojem czekał na żonę. Wieczór kamieniem ciążył mu na sercu. Uważał, że Marcelka zbyt długo bawi w zamku de Lambezac u

przyjaciół swych Dujarden. Godzina obiadu minęła. Pan de Villeneuve błądził po mieszkaniu, jak pokutująca dusza, oddany na pastwę złych przeczuć. Służba spoglądała na zegar z niemią trwogą w oczach. Dziewięć godzin wybiła.

— Coś się stało napewno: opona pękła, albo... jakiś wypadek... — szepnęła pan de Villeneuve do siebie. Nie będąc w stanie czekać dłużej, wskoczył do swego służbowego auta i udał się w stronę Lambezac, badając rowy i brzegi szosy po drodze...

Nic!

Żadnych poszlak!

Żadnego wehikułu!

Ani jednego przechodnia, u którego by mógł zasięgnąć języka.

Jego zjawienie się w Lambezac o tej porze; błada, pełna niepokoju twarz dały państwu Dujardin do zrozumienia, że nieszczęście się stało.

— Marcelka?... było pierwsze słowo, wymówione przez pana de Villeneuve za przybyciem do zamku.

— Od dwóch godzin już wyjechała od nas! — odparła Colette trwożnie.

Wówczas, niezwłocznie zabrano się do przeszukania drogi, śledząc każdy ślad kół, tworzących niepokojące zygzaki raz po raz.

Zaniechaną niebawem z powodu ciemności inspekcję, prowadzono o świetle dalej. Nadaremnie jednak!

Wieśniak z Montenac dopiero naprowadził powiadomione władze na trop: świeżym jeszcze śladem kół do skarpy o połamanych gałęziach i głębokiego na sześćdziesiąt metrów wąwozu.

Tam, rzeczywiście, znaleziono wśród szczątków auta, zwłoki Marceliny. Pan de Villeneuve całował oczy ukochanej żony, te piękne oczy zagasłe na wieki, kiedy nagle zalawiony wzrok jego padł na drugie ciało, ciało mężczyzny, leżące obok Marcelki, z roztrzaskaną czaszką.

Prawa natura pana de Villeneuve wzdrygnęła się na ten widok. Okropne podejrzenie jadłem swym zatruto miłość jego i boleść.

Kto jest tym mężczyzną, którego śmierć dosięgła razem z jego żoną? Jaka tajemnica kryje się w tym tragicznym wypadku? Co znaczą: rewolwer! maska pomiędzy odłamkami samochodu?

— Panie de Villeneuve! — szepnęła Colette, biorąca udział w poszukiwaniach — nie wolno panu podejrzewać Marcelki! Dla dochowania panu wiary poniosła śmierć. Ten młody człowiek, syn architekta Paluvier od pewnego czasu już narzucał się Marcelce ze swem karygodnym uczuciem i akcesorja tu obecne świadczą aż nadto jasno o nikczemnej zasadzce.

Thum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok VI.

Łódź, niedziela, dnia 22 września 1929 r.

Nr. 38.

„Historyczny moment” asfaltowania ul. Piotrkowskiej.



No, wreszcie, może jednak coś z tego będzie! Może Łódź doczeka się ostatecznie chociaż jednej ulicy urządzonej po europejsku. Tyko idzie to jakoś wolno, wolno, ba, nawet bardzo wolno.

Fct. A. Meyer.